

BEV THOMAS

Niewiele thrillerów
psychologicznych
brzmi tak prawdziwie

SUNDAY TIMES

Pięknie napisany,
inteligentny
emocjonalnie

DAILY MAIL



RODZINNY WYJAZD

FILIA

**BEV
THOMAS**

**RODZINNY
WYJAZD**

Przetłóżył
Adrian Napieralski

FILIA

*Pamięci mojego ojca
i niepowtarzalnego George'a Jeffriego
1964–2020*

JEDEN

Wydarzyło się to na plaży.

– Moja siostra ma problemy – powiedziała kobieta, kiedy nasze dzieci bawiły się w piasku. Ledwo ją znałam i tak naprawdę nawet nie lubiłam. Nie spuszczałam wzroku z wody, mającej srebrny blask, ale wyraźnie wychwyciłam w jej głosie desperację i lekką nutę paniki – starała się być opanowana, ale drżenie wypowiedzianych słów ją zdradziło. Nagle jakbyśmy stały się sobie bliższe i kobieta, którą ledwie znałam, stała się kobietą, której chciałam pomóc. Nie czekałam, aż zostanie o to poproszona. Byłam już gotowa do działania. Jednak tego lata byłam tak pochłonięta gorączką altruizmu, że nie dostrzegłam prawdziwego niebezpieczeństwa.

Helen nie należała do kobiet, które w naturalny sposób budziły moją sympatię. Zawsze miała wszystko pod kontrolą i wkładała w to tyle wysiłku, że było to po prostu irytujące. Należała do tych ludzi, którzy mieli płyn do dezynfekcji rąk jeszcze na długo przed tym, gdy stał się on

niezbędnym elementem naszego wyposażenia. Nie pasowałyśmy do siebie od samego początku. Gdybym miała wskazać, co zapamiętałam z krótkiego spotkania przy jej samochodzie dziś rano, byłyby to jej gracia i schludność. Szczerze mówiąc, bardziej zainteresowały mnie dzieci Helen. Nie mogłam oderwać od nich wzroku, kiedy wsiadały do auta. Ich sylwetki, wiek i energia sprawiły, że od razu zaczęłam porównywać je z własnymi dziećmi. Zgodnie z przewidywaniami już następnego dnia moja dwójka namierzyła jej dzieciaki w tłumie jak samonaprowadzająca się rakietą w strefie walk.

Poznałyśmy się bliżej na sąsiedzkim spotkaniu, któremu daleko było do „kameralnego zebrania”, jak określiła to Joyce. Stanęła w drzwiach w zabłoconych gumiakach i obszernym, workowatym, zielonym swetrze z łatami na łokciach.

– Witamy w Langton! – zawołała, dźwigając domowej roboty ciasto i świeże jajka. – To ty jesteś tą pisarką? – zapytała od razu, patrząc na mnie.

Pokręciłam głową.

– Nie, to mój mąż Rob pisze.

Joyce zajęła się wynajmem domku podczas nieobecności właściciela. Polubiłam ją od samego początku za ciepło bijące z jej radosnej i opalonej twarzy, lekkość w nawiązywaniu kontaktów i szare loki, które kołysały się w rytm jej mówienia.

– Organizujemy jutro kameralne zebranie na farmie – oznajmiła. – Będziemy zbierać fundusze na projekt ogrodniczy mojego syna. Kilka straganów, zabawki dla dzieci.

Ludzie ze wsi chcą pomóc. Green Shoots grozi zamknięciem. Musimy narobić sporo szumu, żeby zainteresowały się tym lokalne gazety. Poza tym wypadają właśnie osiemnaste urodziny Leo – dodała z dumą. – Chyba wczoraj mieliście okazję się poznać. – Roześmiała się. Zarumieniłam się na wspomnienie tego, jak dzień wcześniej oświecił mnie blask reflektorów, gdy stałam na piknikowym stole, przez co poczułam się tak, jakbym stała naga na scenie.

Wysłałam wtedy na zewnątrz, żeby sprawdzić, skąd niesie się ten wkurzający warkot ciągnika.

– Kto tak późno orze pole? – rzuciłam, korzystając z okazji, by oddalić się od Roba i domku dla lalek. Dopiero zapadł zmierzch, ale było ciemno choć oko wykol. Ta głęboka i absolutna czerń, która nadchodziła na wsi, zawsze mnie zaskakuje. Świecąc sobie latarką z komórki, przesłam przez trawnik i wspięłam się na stół, żeby zobaczyć pole znajdujące się za żywopłotem. Ciągnik znajdował się niedaleko. Reflektory zaczęły świecić ostrym blaskiem, kiedy ruszył w moim kierunku. Dopiero kiedy podjechał bliżej, zorientowałam się, że obok porusza się jakiś chłopak, który wyprzedzał maszynę w polu. Śmiał się głośno, ale moją uwagę zwróciło coś innego. Jak biegł, zauważyłam, że poruszał się bardzo nienaturalnie, niemal mechanicznie – jego nogi zdawały się być sztywne, a spięte ramiona trzymał przy sobie jak żołnierz, który w każdej chwili był gotowy zareagować. Kiedy ciągnik podjechał bliżej, blask jego reflektorów mnie oślepił, przez co poczułam się, jakby ktoś złapał mnie na gorącym uczynku. Uniosłam rękę, żeby pomachać, ale mężczyzna

w kabinie ciągnika tylko skinął nieznacznie głową. Żadnego uśmiechu. Chłopak wydawał się nie zauważać ani mnie, ani niczego innego w pobliżu. Zeskoczyłam na ziemię, a kiedy struga światła z reflektorów zmieniła kierunek, znów spowiła mnie ciemność. Stałam nieruchomo, starając się zrekompensować to nagłe oślepienie za pomocą innych zmysłów: poczułam słodki zapach wiciokrzewu, dotyk gąbczastej gleby pod stopami i wycie ciągnika w oddali.

– On jest autystyczny – wyjaśnia Joyce w progu. – Zawsze uwielbiał proste linie. Bieganie wzdłuż zaoranego pola jest dla niego odpowiednikiem bajki na dobranoc. Pozwala mu rozładować energię na koniec dnia. Dzięki temu łatwiej zasypia, choć teraz, kiedy wszedł w okres dojrzewania i pojawiły się hormony jest trudniej. – Kręci głową. – Zwykle jednak udaje mu się przymknąć oko na trzy, cztery godziny.

Joyce przedstawia mi moich nowych sąsiadów, ale mówi za szybko, a ja zbyt krótko spałam, żeby się skupić, więc mam w głowie jedynie płataninę imion. Słyszę o Penny, która hoduje konie, i o jej rodzinie: dzieciach i pracującym nad książką ojcu.

– Są bardzo mili – mówi. – Ona siedzi tu z dziećmi w tygodniu, a jej mąż James dojeżdża w weekendy... – urywa na moment, żeby spojrzeć na Sama i Ruby, którzy właśnie weszli do środka. – Ich dzieci są mniej więcej w wieku twoich – wraca do przerwanego wątku, po czym rusza ścieżką. – W domku komórki gubią zasięg – dodaje po chwili. – Czasem można go

złapać przy stole w ogrodzie ale najlepiej iść na podjazd pod domem. W razie problemów wychyl się po prostu przez okno w łazience i wołaj. – Śmieje się. – Ktoś przybiegnie ci z pomocą. – Macha do mnie. – Do zobaczenia jutro.

Po lunchu wychodzę z dziećmi, zostawiając Roba, żeby mógł popracować i dołączyć do nas później. Jest słoneczne, czerwcowe popołudnie. Na błękitnym niebie widać jedynie pojedyncze, postrzępione chmurki, które unoszą się nad srebrzystym morzem w oddali. Dzieciaki chichoczą, a ja czuję ciepło promieni słońca na twarzy. Zatrzymuję się na chwilę, doświadczając czegoś, o czym już dawno zapomniałam. Uczucia lekkości. Czuję, jak wszystkie problemy na moment ulatują.

Kiedy idziemy traktem biegnącym od naszego domu, dzieci ekscytują się na widok kolorowych tasiemek na drzewach i rzędu straganów. Czego tam nie było: stanowisko z loterią fantową, dmuchany zamek, stół, przy którym odgaduje się liczbę cukierków w słoju, przycisk dźwiękowy i kręgle rozstawione na specjalnym podłożu na trawie. Na słońcu rozstawiono stoły na kozłach, na których znajdują się ciastka, herbata i beczułki z piwem. Wśród tych stoisk kręci się mnóstwo ludzi. Panująca tu atmosfera wydaje się tak odmienna od tej, która zapamiętałam z East London.

Każde z nas próbuje szczęścia na loterii fantowej. Sam jest wniebowzięty, bo wygrał zielony płyn do kąpiei z bąbelkami. Kiedy przebijamy się przez tłum, czuję pociągnięcie za rękaw.

– Spójrz – szepcze Sam. – Ten chłopak ma transformera.

Wskazuje głową na chłopca siedzącego przy jednym ze stolików niedaleko straganu z ciastkami. Ciągnie mnie w tamtym kierunku, urzeczony zarówno zabawką, jak i jej właścicielem.

To rodzina, którą widziałam wcześniej na podjeździe. Obok chłopca siedzi kobieta i stuka w ekran telefonu. Ubrana jest w spodnie i białą bluzkę z długimi rękawami, a gęsty koński ogon kołysze się lekko w rytm jej pisanania.

Sam stoi teraz bezpośrednio przed chłopcem. Jest tam jeszcze dziewczynka, w podobnym wieku co Ruby, która pochyla się nad kartką i rysuje coś pisakami. Ma duże, rozmarzone oczy, a pasma włosów wypadają jej z elegancko splecionych warkoczy.

– Podoba mi się twój transformer – rzuca nieśmiało Sam. Chłopiec uśmiecha się szeroko.

– To Optimus Prime – odpowiada z dumą.

Sam kiwa głową, a jego mina wskazuje na to, że o tym wiedział.

– Rozkłada się od tyłu czy od przodu?

– Z obu stron – odpowiada tamten, po czym wykonuje nieznaczny ruch palcem i ciężarówka zmienia się w robota. Kolejny sprawny gest w drugą stronę i znów trzyma pojazd.

Sam jest pod wrażeniem.

– Jestem Ollie – przedstawia się chłopiec.

– A ja Sam.

W trakcie tej wymiany zdań między nimi matka Ollie'ego ani razu nie podniosła głowy znad telefonu.

– Cześć – mówię w końcu. – Jestem Jess. Mój syn ma obsesję na punkcie transformersów – dodaję i przewracam przepraszająco oczami.

Kobieta w końcu unosi wzrok, ale robi to ze znacznym opóźnieniem, co zakrawa o niegrzeczność. Wydaje się zmieszana. Przenosi spojrzenie ze mnie na chłopców, jakby dopiero co zaczynała orientować się w sytuacji.

– Ach, nie szkodzi – rzuca tylko i wraca do stukania palcami w ekran.

W tym braku zaangażowania jest coś, co mnie denerwuje. Reaguję pozbawionym sensu mamrotaniem, aby przerwać niezręczną ciszę.

– Przyjechaliśmy tu na miesiąc – wyjaśniam. – W naszym domu w Londynie trwa remont. – Słyszę jedynie grzeczny ton swojego głosu. Kobieta unosi wzrok. – Uszkodzenia po zalaniu. Rozerwało zbiornik z wodą na strychu... – urywam w końcu. – Mieszkacie tutaj? – pytam po chwili, choć przecież widziałam ich wczoraj.

Kobieta kręci głową.

– Tam, gdzie te domki. – Wskazuje głową. – Naprzeciw was. Widziałam wczoraj, jak przyjechaliście.

– Od dawna tu mieszkacie?

– Wpadliśmy tylko na lato – odpowiada, po czym szybko kieruje wzrok na ekran, zanim udaje mi się zadać kolejne pytanie.

Kobieta nie czuje się zobowiązana, aby podtrzymywać rozmowę. Nie inicjuje żadnych pytań, a na moje odpowiada

zawkowo. Jestem zaskoczona jak bardzo irytuje mnie jej zupełny brak zainteresowania moją osobą. Zapada cisza, w trakcie której nasi synowie wzajemnie podziwiają swoje zabawki. Ruby wślizguje się na ławkę obok dziewczynki. Ich matka wydaje się przynajmniej z dziesięć lat młodsza ode mnie, ale sprawia wrażenie bardziej samowystarczającej i dojrzałszej niż ja w obliczu mojej dziecięcej potrzeby zwrócenia na siebie uwagi.

Przestaję gadać. Próbuję uciec przed „tyranią uprzejmości”, o której rozmawiałam na terapii. Te nowe przykłady wykorzystania wiedzy lub samoświadomości wydają się niespodziewanie pojawiać w prawdziwym życiu. Zatrzymują mnie na chwilę. Sprawiają, że przez moment czuję się skrępowana, jakby moje cechy stały się nagle niewygodne i przesadnie duże. Staram poczuć się w tej ciszy komfortowo. Wciąż nie potrafię jednoznacznie określić, czy przyczyną mojej wrażliwości są niedawne wydarzenia, czy zawsze taka byłam. Wszystko wydaje się nagle niejasne. Wdycham i wydycham powietrze, odwracam uwagę od myśli, obserwując chłopców. Sam stoi tak blisko tamtego, jak tylko się da. Ollie ma drobne, zmarszczone czoło i mądre, dość poważne jak na swój wiek oczy. Mówi, poruszając częściami zabawki. Nie proponuje Samowi, by ją potrzymał, ale mój syn najwyraźniej tego nie oczekuje. Wystarcza mu przebywanie w towarzystwie tego starszego od siebie kolegi.

W tym samym momencie po drugiej stronie ogrodu zauważam Roba, który wdał się w ożywioną dyskusję przy kręglach. Jestem pewna, że mówi o swoim scenariuszu.

To dziwne, nowe zachowanie, które pojawiło się u niego niedawno. Jest nieco nadętą wersją samego siebie. Sprawia wrażenie wyższego. Zajmuje więcej przestrzeni. Kiedy mówi, gestykuluje rękami. To coś, czego dotąd nie robił. Dziwne, co sukces robi z człowiekiem. Nie mogę się do tego przyzwyczaić. Wszystko wydaje mu się teraz takie takie beztroskie i optymistyczne, a dla mnie to niepokojące.

– Spójrzcie, tata tam jest! – wołam do dzieci, jakby był dla nich krewnym, którego dłuższy czas nie widziały. – Chodźmy do niego.

Ruby jest gotowa w jednej chwili, ale Sama muszę pociągnąć za rękę. Nic dziwnego, że to nie obietnica spotkania ojcem, którego widział pół godziny temu, ale cicha obietnica słodyczy i gry w kręgle skłania go do pożegnania się z Optimusem Prime.

– ...znalezienie odpowiedniego momentu. – Słyszę głos Roba, kiedy podchodzimy bliżej. – Całego tego dramatu i konfliktu...

Kobieta, do której mówi, kiwa dynamicznie głową i poprawia swoje długie włosy.

– To Penny – mówi Rob, kiedy się zbliżam. – Rozmawiamy o napięciu dramatycznym. – Śmieje się.

Penny to ta od koni. Ma w sobie coś, co hamuje naturalny upływ czasu, jak to często bywa w przypadku kobiet spędzających większość czasu na zewnątrz.

– Scenariusz! – woła, odwracając się do mnie, jakby coś ogłaszała. – Jakie to fantastyczne! I ekscytujące. – Kiwam głową. Ciekawe, co naopowiadał jej Rob.

– Sposób Jeana-Paula Sartre’a brzmi świetnie – dodaje. – Uwielbiam Sartre’a.

– Serio? – Rob niemal unosi się nad ziemią. – Mogę ci coś podrzucić, jeśli chcesz. – Penny się uśmiecha. – Zostawię ci egzemplarz.

– Mieszkam w jednym z tych domów – mówi, wskazując palcem. – Mój tata, Philip, mieszka ze mną od pewnego czasu. Píše książkę. Wziął trochę wolnego w pracy, żeby ją dokończyć. To literatura faktu, jakaś praca akademicka.

Zerka na nas jak pełne energii dziecko, a my kiwamy głowami jak dumni rodzice. Z odsieczą przybywa nam furgonetka z lodami, grająca swoją głośną melodyjkę. To dźwięk, który zawsze wywołuje we mnie uczucie nostalgii. Wspomnienie długiego, upalnego lata, kiedy Gemma była chora. Wakacje spędzone na szpitalnym oddziale, uda klejące się do plastikowego krzesła i nasłuchiwanie śmiechów gdzieś w oddali.

Furgonetka zatrzymuje się na żwirowej drodze przy bramie. Szykuję się, żeby zaprowadzić do niej dzieci, kiedy oboje odwracają się w moją stronę.

– Możemy pójść z Ollie i Lexie? – szepczą. – Ale sami.

Patrzę na ich błagalne miny, po czym otwieram portmonetkę i wydłubuję monety, które po chwili zaciskają już w dłoniach.

Kiedy cała czwórka biegnie już radośnie w stronę pojazdu, Lexie potyka się i ląduje z jękiem na ziemi. Jej matka zrywa się z ławki, podbiega i natychmiast ją obejmuje.

Kiedy do nich podchodzę, Lexie łka, jej ramiona podrygują, a Sam patrzy na jej zdarte, zakrwawione kolano.

– Moja mama jest lekarzem – mówi z powagą. – Ona pomoże.

Kobieta odwraca się gwałtownie w moją stronę, jakby dopiero teraz przyjęła do wiadomości, że istnieję.

– To prawda?

Odwracam wzrok i patrzę w głąb ogrodu, ale wciąż czuję na sobie jej spojrzenie. Z ulgą odnotowuję fakt, że zbliża się do nas Rob.

– Och, nie sędzę, żeby potrzebowała pomocy medycznej – odpowiadam zbywającym tonem i macham do Roba.

– Jaka specjalizacja? – pyta tamta, głaszcząc jasne włosy wciąż popłakującej na jej rękach dziewczynki.

Czuję lekką irytację. Jest tyle różnych tematów, a to właśnie moja praca wzbudziła zainteresowanie kobiety. Rob podchodzi do nas i bierze Ruby na barana. Płacz Lexie ustaje, kiedy jej uwagę zwraca skaczący obok i strojący głupie miny Sam.

– Gdzie pracujesz? – Nie ustępuje kobieta.

Czuję, że się czerwienię. Nie chodzi o to, że nie miałam czasu na przeciwczenie odpowiedzi. Godziny spędzone na parterze, w beżowym gabinecie w West Hampstead sprawiają, że nie spieszę z wyjaśnieniami. Za każdym razem czuję się jak niezdara na WF-ie, która próbuje kopnąć piłkę. Wspomnienie o pracy przypomina mi warunkowanie pawłowskie. A teraz znów się tak czuję. Nagłe, niepokojące uczucie spadania. Może

popęłiłam błąd? Odczuwam gorącą falę wstydu, która wpływa na moje policzki. Nie lubię wyglądać jak kretynka.

Kobieta nie spuszcza ze mnie wzroku.

– East London. Spitalfields – odpowiadam w końcu. – Byłam lekarką rodzinną. – Wzruszam przepaszająco ramionami. – To znaczy... nadal nią jestem. – Zaczynam niepokojąco mamrotać. – Chodzi o to... że teraz jestem po prostu na urlopie.

I wtedy to się dzieje. Patrzymy sobie przez krótką chwilę prosto w oczy. To dosłownie ułamek sekundy, ale wystarcza, by przemknęła między nami iskra porozumienia. Później będę się zastanawiała, czy to właśnie ten moment przypieczętował nasze losy.

– Jak to? – Jej głos jest przyjemny, ale stanowczy. Udaję, że jej nie usłyszałam.

Rob stoi obok mnie, a ponieważ nie wiem, jak zareagować, wyskakuję teatralnie przed siebie.

– Doktor Jess Gibson – rzucam śpiewnym tonem. – Do usług. – Wiem, że brzmię żałośnie, ale oparta na pantomimie wersja samej siebie wydaje się jedynym sposobem na uniknięcie odpowiedzi. Czuję, że zachowuję się bardzo sztucznie. – Gdzie jest pacjentka? – dodaję wesoło.

Rob wbija we mnie spojrzenie.

Lexie przestała płakać i patrzy na mnie z zaciekawieniem.

– Prawdziwa lekarka? – pyta.

– To właśnie ja – odpowiadam, po czym pochylam się, by unieść jej nogę i przyjrzeć się ranie. Oferuję diagnozę

i leczenie w postaci „chusteczek aseptycznych i plastra”, które jej matka w tajemniczy sposób wyjmuje od razu z torebki.

– Ale... – Unoszę w dramatyczny sposób ręce. – Najważniejszy jest lek...

Lexie marszczy czoło.

– ...w postaci dużych lodów. Najlepiej w podwójnym wafelku, z sosem truskawkowym i posypką.

Dziewczynka zaczyna się śmiać, po czym uwalnia się z uścisków matki, wsuwa stopy w odzyskane klapki i dołącza do pozostałych, którzy znów obierają za cel furgonetkę. Kobieta wstaje.

– Jestem Helen – mówi, wyciągając dłoń. Tym razem obdarza mnie pełną uwagą. – Dziękuję za pomoc medyczną. – Uśmiecha się, choć mówi to z wdzięcznością. Zbynam to machnięciem ręki, a kiedy ona otwiera usta, by coś powiedzieć, Joyce wspina się na prowizoryczną scenę zrobioną z bel siana i stuka w mikrofon. W tłumie rozlegają się odgłosy wzajemnego uciszania i w ogrodzie zapada cisza.

– Jak wielu z was wie – zaczyna – dziś przypadają urodziny Leo. – Rozlegają się pojedyncze oklaski i wiwaty. – Jednak, jak w przypadku większości innych osiemnastolatków, nie jest to brama do samodzielności i dorosłości. – Urywa na moment, żeby opanować emocje. – Leo nigdy nie pójdzie na uniwersytet ani nie będzie żył samodzielnie, nie skorzysta też z wielu przywilejów, które mają inni. – Jej głos odrobinę się łamie. – Jestem jego matką, więc moją rolą pozostaje dbanie o rzeczy, które może zrobić i rzeczy, które robić uwielbia.

JEDEN IDEALNY WYJAZD. JEDNO SZOKUJĄCE ZAKOŃCZENIE.

Kiedy Rob postanawia, że powinni wyjechać całą rodziną na wakacje, Jess nie czuje się przekonana. Czy to wszystko, od czego chcą uciec, nie będzie na nich czekało po powrocie do domu? Dzieci są jednak zachwycone, a wszyscy szybko ulegają magii uroczego domku, morskiego powietrza, skóry wilgotnej od kremu do opalania, lizaków i piasku. Jess postanawia się oddać urlopowej atmosferze, a rodzina nawiązuje nowe wakacyjne znajomości.

Letnie upały się nasilają, a Jess, jak zawsze czujna, odkrywa pewną tajemnicę – problem, który jej zdaniem będzie potrafiła rozwiązać. Ale okoliczności nie zawsze są takie, na jakie wyglądają. Woda może wyglądać zachęcająco, ale nawet najłagodniejsze fale mogą skrywać zabójcze prądy.

Wraz z nadejściem jesieni Jess uświadomi sobie, że wszystko skończy się w sposób, jakiego nikt nie potrafił sobie nawet wyobrazić.

cena 49,90 zł

FILIA

Mroczna

ISBN 978-83-8402-245-0



9 788384 022450